

Józef Sadurski
ur. 1927; Kębło



Tytuł fragmentu relacji	Przed wojną rodziny się wspierały
Zakres terytorialny i czasowy	Lublin, dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	dwudziestolecie międzywojenne, rodzina

1. Przed wojną rodziny się wspierały

Jeżeli chodzi o moją rodzinę, to ze strony ojca moim dziadkiem był Szymon Sadurski, pochodził z Miłocina. Co prawda nie udało mi się poznać bliżej rodzeństwa dziadka, nie mniej jednak ponieważ spotkałem dwóch Józefów Sadurskich jeszcze w swoim życiu, doszedłem do wniosku, że ojcem Szymona był Jakub Sadurski, który jest, że tak powiem, pradziadkiem dla wielu lublinian Sadurskich. Jakub miał podobno sporo dzieci, a z zawodu był kołodziejem, zresztą bardzo dobrze znanym. Dziadek miał jeszcze jednego syna, były z nim czasem zabawne historie, szczególnie w czasie okupacji, ponieważ aczkolwiek nie byli bliźniakami, to jednak byli do siebie bardzo podobni. Kiedyś ojciec mój był wywieziony do Niemiec, a sąsiadki mamy mówiły: „Pani Sadurska, to nieprawda, że pani męża nie ma, bo myśmy widziały pani męża na targu”. A one widziały naszego stryjka. Jeszcze zabawniejsza historia była, jak nasza pani dentystka poskarżyła do stryjka, myśląc że to mój ojciec: „Ja tak chciałam za Józia wyjść, a Józio nie chciał się ze mną ożenić”.

Dziadkiem ze strony mamy był Wincenty Olejarz, miał on jeszcze brata Sebastiana i Władysława. Od Władysława są Kazimierz, Czesław Olejarz i Janina Olejarz. Dziś jest to rzecz niespotykana, ale kiedyś przed wojną rodziny nawet takie dosyć rozbudowane, mimo że nikomu się za dobrze nie powodziło, to jednak wzajemnie się wspierały. Nie tylko finansowo, pomoc ta była bardzo konkretna. Na przykład jak moja mama pracowała, to nas, czyli mnie, moją siostrę Natalię i brata Eugeniusza, podrzucała swojej siostrze. Podobnie później, kiedy mieszkaliśmy w Lublinie, jeżeli siostra mojej matki, Stanisława Olejarz gdzieś pracowała, to swoje córki nam podrzucała i zajmowaliśmy się nimi. Mimo biedy, było wesoło, swobodnie, ludzie się wzajemnie szanowali.

Data i miejsce nagrania	2010-08-23, Lublin
Rozmawiał/a	Lasota Piotr
Transkrypcja	Olimpia Przygocka
Redakcja	Olimpia Przygocka
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"

Józef Sadurski
ur. 1927; Kębło



Tytuł fragmentu relacji	Mieszkaliśmy w lepiance z jednym oknem
Zakres terytorialny i czasowy	Lublin, dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	dwudziestolecie międzywojenne, rodzina, Kębło, budowa domu, sąsiedzi

2. Mieszkaliśmy w lepiance z jednym oknem

Urodziłem się piątego lutego 1927 roku w majątku hrabiego Roztworowskiego w Kębłach. Mieszkalem tam niezbyt długo, bo w tym samym roku latem, rodzina przeniosła się do Lublina. Ojciec wyszedł z majątku za radą hrabiego Roztworowskiego. Hrabia powiedział, że w tym dworze ojciec nie będzie miał wielkiej przyszłości i poradził mu, żeby się przeniósł do Lublina. Ojciec się bał, bo przecież nie miał żadnego zawodu, wykształcenie na poziomie czterech klas szkoły podstawowej, niemniej usłuchał i podjął pracę na kolei. Oczywiście, tak jak dzisiaj są okresy próbnego na PKP, przed wojną była tak zwana praca sezonowa i przez szereg miesięcy ojciec pracował jako pracownik sezonowy. Zapamiętałem ze swego dzieciństwa radosny okrzyk ojca, gdy wpadł do domu, powiedział do mamy: „Matka! Już jestem pracownikiem etatowym!”

Przez jakiś czas mieszkaliśmy w Lublinie. Sytuacja materialna rodziców była przez szereg lat bardzo skromna, były trudności z utrzymaniem rodziny, w trzydziestym czwartym roku rodzice stwierdzili, że nie dadzą sobie rady z czworgiem dzieci, i że jedynym wyjściem będzie kupienie działki, bo wtedy będzie można się utrzymać. I tak też się stało, kupili działkę przy Abramowicach, przy drodze Głuskiej, od strony rzeki Czerniejówki, tam był młyn wodny Łozińskiego jeszcze przed wojną. Na pierwszej działce mieszkał Łuka, a druga była nasza. Obecnie jest to ulica Głuska.

Rodziców nie stać było na budowę domu, byli za biedni. Ojciec wynajął od młynarza konia, pojechał do tartaku i stamtąd wziął zrzynki, listwy krzywe z desek. Zbijał to w kratkę, kupił trochę krawędziaków i przybijał do krawędziaków, to ze słomą wypacykował i powstała lepianka, po prostu lepianka, która miała na wschód tylko jedno okno. Bardzo duszno było w środku, w nocy ciągle otwieraliśmy okno. I ku pełnemu zaskoczeniu, kiedyś wskoczył jakiś wielki pies, wystraszyliśmy się, ale on powąchał nas i wyskoczył z powrotem.

Nasz dom to był slums. Od zachodniej strony mieszkał Hempel, on był stelmachem, więc sobie postawił dom z prawdziwego zdarzenia, po prostu umiał to zrobić. Zresztą, ludzie dawali mu materiał na koła, na wozy było go dużo i był solidny, więc miał z czego wybrać. Ten sąsiad od rzeki też miał drewniany dom. Po sąsiedzku były przyzwoite domy i nasz slums był najgorszy zdecydowanie. To była nędzna chatka, tylko papą przykryta, jak bomby leciały, to się huśtała na wszystkie strony. Mało słońca wpadało do środka, więc raz powiedziałem: „Mama, ja zrobię okno z kolegą”. I zrobiłem okno od południa. Radość była z tego niesamowita. Najtrudniej było przezimować w tej chatce, co roku chodziliśmy do lasu z workami, grabiliśmy liście i tymi liśćmi po prostu tą lepiankę się gaciło, czyli ocieplało. W środku stał piecyk żelazny, tak zwana koza. Ojciec dostawał węgiel jako deputat, więc węgiel nie stanowił problemu, natomiast nie było drzewa i po drzewo też chodziliśmy do lasu.

Jeżeli chodzi o relacje z sąsiadami, to z jednej strony były bardzo przyjemne, a z drugiej

to potrafili coś podkraść, ale zwyczaj był taki, że jak trzeba było żąć pszenicę u Hempla, czyli u sąsiada z jednej strony, to wszyscy sąsiedzi szli. Różnie to się odbywało, początkowo były sierpy, o tyle dla nas z ojcem korzystna sprawa, że jak młóciliśmy, to żyznana sierpem pszenica była równiutka, bardzo równe kłosa wychodziły, więc i snopki równe, i się ładnie młóciło. Na wszystko się ta słoma nadawała, niektórzy nawet chcieli od nas brać, bo tak równiutko, że można było na przykład strzechę podrównać. I wyglądało to w ten sposób, że kiedy po południu się skończyło, czy koło południa, to był wspólny obiad dla kilkunastu osób. Później ten sąsiad przychodził do nas i my chodziliśmy nad rzekę do tego sąsiada.

Data i miejsce nagrania	2010-08-23, Lublin
Rozmawiał/a	Lasota Piotr
Transkrypcja	Olimpia Przygocka
Redakcja	Olimpia Przygocka
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"

Józef Sadurski
ur. 1927; Kębło



Tytuł fragmentu relacji	Czasem pasłem krowę na trawnikach
Zakres terytorialny i czasowy	Lublin, dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	dwudziestolecie międzywojenne, gospodarstwo, pasienie krów

3. Czasem pasalem krowę na trawnikach

Mama się uparła, żeby trzymać krowę, ale niestety trudno było ją wykarmić. Zdarzały się przezabawne historie, bo i na trawnikach czasem musiałem ją pasać, nieraz więc policja mnie razem z tymi krowami ganiała. Poza tym po całym Lublinie jeździł ojciec z wózkiem i szukał jakiejś trawy do skoszenia. Jesienią brało się wózek, zimą sanki i jeździło się po makuchy. Dla świnek kupowało się młóto w browarze. Kupowaliśmy też pulpę z ziemniaków i tym karmiliśmy zwierzaki. Najmniejszy kłopot był z kaczkami, one rano wychodziły, wieczorem wracały, najadły się na wodzie, nie kosztowały nas wiele. A od czasu do czasu kaczkę się zabiło, więc było co jeść. Utrzymanie było wystarczające, bo krowa na ogół była dobra, mieliśmy swoje masło i śmietanę swoją. Były kury, były jajka swoje, czasami mama kazała zabić koguta, to raz uciąłem kogutowi łeb i kogut mi uciekł. Szczerze mówiąc, to mleko i masło czasem się nam nudziło, mimo że inne dzieci i tego nie miały, więc bywało, że chodziłem w Czerniejówce łapać ryby przetakiem. Kiedyś przestraszyłem się, bo zamiast ryby wskoczył mi piżmak, do tego przetaka. Miałem stracha, bo ja mały, a tu nagle taki piżmak wyskoczył i to wieczorem, późno, to strach był. Mama kazała czasem chodzić do młynarza plewić ziemniaki i buraki, wtedy mieliśmy zielsko dla krowy i pokrzywę dla świni. Pokrzywę ciąłem gęsto na sieczkarni, a później mieszało się to z osypką. Otóż tego wszystkiego było za mało na jedzenie dla krowy, ale obok był majątek Sachsa, więc bywało tak, że umawialiśmy się z sąsiadami, którzy podobnie nie mieli czym karmić krowy, braliśmy duże worki i chodziliśmy w nocy rwać koniczynę u pana dziedzica. Jeżeli chodzi o pasienie krów, to mama była sprytna i wymyśliła, że ten będzie pasł, kto dostanie w szkolę dwóję. Ponieważ dziewczyny się nie chciały uczyć, to najczęściej one pasły te krowy, a my z bratem mniej. Przypominam sobie z czasów okupacji zabawną historię, raz takie handlarki uciekały przed volksdeutshami, którzy chcieli im zabrać kupione na wsi indyki. Przekupki zauważyły, że niedaleko jest gnojownik, czyli dół z gnojówką, i tego indyka tam wrzuciły i do nich: „Gówno dostaniecie, nie dostaniecie tego indyka”. Ja widziałem, gdzie wyrzuciły tego indyka, wyciągnąłem go, wymyłem. Mówię: „Mama, ja tego indyka wymyłem dobrze, może go upieczemy?” Jak mama na mnie krzyknie: „W żadnym wypadku!”. No więc zakopałem tego indyka pod drzewko, to była wiśnia akurat. Jakie cudowne na przyszły rok były wiśnie! Urosły na tym indyku pięknie.

Data i miejsce nagrania	2010-08-23, Lublin
Rozmawiał/a	Lasota Piotr
Transkrypcja	Olimpia Przygocka
Redakcja	Olimpia Przygocka
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"

Józef Sadurski
ur. 1927; Kębło



Tytuł fragmentu relacji	Do szkoły chodziliśmy boso
Zakres terytorialny i czasowy	Lublin, dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	dwudziestolecie międzywojenne, szkoła nr 2 im. Jana Kochanowskiego, warunki w szkole, nauczyciele, uczniowie

4. Do szkoły chodziliśmy boso

Chodziliśmy do szkoły nr 2 przy ulicy Jana Kochanowskiego. To były drewniane budynki, jak dobrze zawiąło, to się trochę chwiały. Jak chodziliśmy do pierwszej, drugiej, trzeciej klasy, to mieliśmy na rano, więc było światło, starsze klasy chodziły po południu, więc światła już nie było, tylko po prostu lampy naftowe. Mieliśmy ławki z kałamarzami, każdy maczał stalówkę w ten kałamarz i pisał. Czasem człowiek po łapach dostał od nauczyciela, że zrobił kleksa. Czasami dostawałem od pani z polskiego, która najpierw się nazywała Bauer, ale ponieważ przygadywali jej, że to jest pochodzenia niemieckiego, to zmieniła sobie nazwisko na Sierosławska.

Warunki w szkole były bardzo prymitywne, ale przed wojną zaczęto dobudowywać nową szkołę, również drewnianą, nową część. Wtedy już solidnie zrobiono ściany. Pamiętam, że my wszyscy pomagaliśmy te ściany stawiać. Więc oprócz majstrów również uczniowie brali udział w budowaniu szkoły. Tam już była sala konferencyjna, sala widowiskowa, zrobione podium, więc mogliśmy wykonywać przedstawienia. Zapamiętałem pewne zabawne wydarzenie ze szkoły, otóż muzyki i śpiewu uczył nas pan Tazio [późniejszy dyrygent Lubelskiej Operetki – S.J.], on był łysy, i kiedyś, jak on te nuty sobie na tablicy rozrysowywał, puściłem takiego „gołębia” zrobionego z kartki papieru, nie wiem jak się stało, ale wylądował mu na głowie. Cała klasa ryczała za śmiechu, ubaw był nieprzeciętny. Mniej więcej do trzeciej, czwartej klasy to w lecie wszyscy biegaliśmy do szkoły boso. Po pierwsze było taniej, a poza tym lubiliśmy. Graliśmy w piłkę, biegaliśmy boso zawsze, to była frajda.

Do szkoły uczęszczały dzieci obcego pochodzenia, trochę było Żydów, takich jak gdyby Kałmuków, nie-Kałmuków. Mieli trochę skośne oczy, nie za bardzo wiedzieliśmy, jakie to było pochodzenie. To byli zresztą ludzie bardzo biedni, mieszkali w Domu Strzelca, nie mieli nawet własnego mieszkania. Było również trochę dzieci pochodzenia niemieckiego, rosyjskiego.

Data i miejsce nagrania	2010-08-23, Lublin
Rozmawiał/a	Lasota Piotr
Transkrypcja	Olimpia Przygocka
Redakcja	Olimpia Przygocka
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"

Józef Sadurski
ur. 1927; Kębło



Tytuł fragmentu relacji	Lubiliśmy biegać po łąkach
Zakres terytorialny i czasowy	Lublin, dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	dziecięce zabawy

5. Lubiliśmy biegać po łąkach

Jako dzieci nie mieliśmy zbyt wiele czasu na zabawy. Ale jak już się zdarzyła okazja, to bawiliśmy się wszyscy razem. Jeździliśmy na pożyczonym rowerze na przykład, bo nie było nas stać na własny. Inicjatorem zabaw przeważnie był Tadeusz Hempel – sąsiad z jednej strony. Między szosą a naszymi działkami były bajorka i spora łąka i na tej łące wymyślał Tadzio różne gry. Wieczorami nam się podobało biegać wzdłuż i wszerz po łąkach. Zawsze po takich zabawach przychodziliśmy brudni i zachlapani – mama miała nowe pranie, no więc trudno, żeby nas za to chwaliła. I to nie troje, nie czworo dzieci szło na te łąki, tylko znów ile ich tam się zebrało z sąsiedztwa, dwadzieścioro, trzydzieścioro dzieci. Starsi, to nawet w nocy robili różne zabawy, podchody, rodzice bardzo się na to złościли. Czasem Hempel przychodził, jak było ciepłutko wieczorem, i mówił, żeby iść się kąpać. Oczywiście wszyscy myśleliśmy, że będziemy kąpali się nago, a okazywało się, że w tym samym miejscu kąpią się już dziewczyny nago. Ja jakiś czas byłem zuchem, byłem harcerzem, ale odszedłem z tego harcerstwa, bo mundurki trzeba było mieć, a mamy nie było stać na kupno.

Data i miejsce nagrania	2010-08-23, Lublin
Rozmawiał/a	Lasota Piotr
Transkrypcja	Olimpia Przygocka
Redakcja	Olimpia Przygocka
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"

Józef Sadurski
ur. 1927; Kębło



Tytuł fragmentu relacji	Układy z Żydami były jak najbardziej ludzkie – społeczność żydowska przed wojną
Zakres terytorialny i czasowy	Lublin, dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	dwudziestolecie międzywojenne, Lublin, Żydzi, ulica Bychawska, getto, kuchnia żydowska, handel żydowski, małżeństwa polsko-żydowskie

6. Układy z Żydami były jak najbardziej ludzkie – społeczność żydowska przed wojną

Kiedy mieszkałem jeszcze przed wojną przy Bychawskiej, to tam mieszkał szewc, nazywał się But. Wcale nie miał za dobrze. Miał chyba troje dzieci, najmłodsza, Humka, spała w szafce, bo nie mieli miejsca do spania. Przychodziła do nas, bo u nas można było lepsze jedzenie zjeść. Była zawsze szczęśliwa, jak przyszła na śniadanie, a jak już na obiad została, to nie wiedziała, jak mamie ma dziękować. U nich było bardzo skromnie. Na początku wojny ojciec jeździł na wschód i przywoził stamtąd tytoń, bo tam był bardzo tani. Pewnego razu Żydzi, którzy mieszkali w Tarnopolu, dali ojcu list, żeby przekazał rodzinie z Lublina. Ci ludzie mieszkali w getcie, ale jeszcze nie było ono tak bardzo zamknięte. Pamiętam, to było przy Szerokiej, poszedłem na pierwsze piętro, odnalazłem tę rodzinę żydowską. Byli bardzo zadowoleni, bardzo dziękowali, ale mnie zaszokowały warunki, w jakich żyli. Szesnaście czy osiemnaście osób tłoczyło się w jednym pomieszczeniu. Tam jedli, pili, spali. To było wręcz wstrząsające.

Raz zaprosił nas do siebie na obiad sąsiad But, którego dzieci przychodziły czasem do nas zjeść i wtedy spróbowaliśmy żydowskiej kuchni. W tych potrawach było sporo czosnku, ten czosnek mnie raził, poza tym to wszystko było bardzo tłuste, a my tego nie mogliśmy jeść, nie byliśmy do tego przyzwyczajeni. Nie bardzo smakowała nam ta kuchnia.

Jedni Żydzi handlowali, natomiast drudzy wynajmowali sady. I kiedy oni brali sad w ajendę, to Żyd chodził i patrzył, jak kwitnie. Pamiętam, że byłem kiedyś w Gutanowie, mieliśmy tam rodzinę ze strony ojca. Tam poszliśmy ze starszymi chłopakami na jabłka do tego Żyda, on to zobaczył i zaczął krzyczeć: „Aj waj! Ja wam dam!”. Ja uciekłem, a oni go wzięli, związali i przykryli takim wielkim korytem do pojenia koni. I dalej rwali jabłka.

Handel w mieście był zdominowany przez Żydów, na przykład przy Lubartowskiej to chyba 70 % to były sklepy żydowskie, przy Bychawskiej było trochę mniej. Przy Pierwszego Maja miał olbrzymi sklep bławatny Weiss. Przy Kunickiego, w takim podpiwniczeniu Żyd przed wojną sprzedawał paszę dla kur i dla królików, i nic więcej. To były po prostu takie zasieki zrobione z desek i w jednej przegrodzie była pszenica, w drugiej owies, w trzeciej co innego. Pytałem go czasem, jak on sobie radzi, a on odpowiadał „Jakoś się żyje, panie. Ja żyję, ja żyję, ja sobie radę daję”. Jak on z tego się utrzymywał? Pojęcia nie mam. Żydzi mieli także jatki i mieli tam taniej niż polscy handlarze, ale ostrzegano nas, żeby w tych żydowskich jatkach niczego nie kupować. Mówiono, że Żydzi kupowali z niewiadomych źródeł i jak najtańsze. Podobno było duże ryzyko. Nie wiem, czy to prawda. Mama miała nieraz ochotę kupić coś, bo u nich zawsze było taniej, ale ojciec nie pozwalał.

Niektórych Żydów nie lubiliśmy. Zdarzało się, że zachorowała nam krowa, wtedy trzeba

było kupić nową. Krowy kupowaliśmy od Żyda i kiedy nam je przyprowadzał, mówił, że to są krowy cielne. Oczywiście kłamał.

Bardzo często były zawierane małżeństwa między Żydami a Polakami. To nie były żadne wyjątki. Absolutnie. Znałem takich małżeństw bardzo dużo. Przeważnie było tak, że Żydzi przyjmowali nazwiska polskie, na to nikt nie zwracał uwagi.

Jeżeli chodzi o zetknięcie z żydowską religią, to pamiętam kiedyś po coś mama kazała mi pójść do Żyda. Ja poszedłem w sobotę, a w sobotę jest szabat, więc oni mnie wygonili. Wtedy byłem zły, ale to było ich święto, więc nie miałem nic do gadania. Raz jako dziecko byłem w bożnicy, widziałem więc, że oni się inaczej zupełnie modlą niż my.

Data i miejsce nagrania	2010-08-23, Lublin
Rozmawiał/a	Lasota Piotr
Transkrypcja	Olimpia Przygocka
Redakcja	Olimpia Przygocka
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"

Józef Sadurski
ur. 1927; Kębło



Tytuł fragmentu relacji	Cyganie tańczyli przy ogniskach
Zakres terytorialny i czasowy	Lublin, dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	dwudziestolecie międzywojenne, Cyganie

7. Cyganie tańczyli przy ogniskach

Cyganie przed wojną grali na wszystkich weselach. Zajeżdżali oni swoimi taborami i jak ktoś powiedział: „Cygany są pod lasem”, to wszyscy tam bieглиśmy do nich, bo oni się fajnie bawili, tańczyli przy ogniskach, to była fajna zabawa. Nikt nie był tym zrażony. Cyganki zawsze chciały wróżyć i jak mama nie miała pieniędzy, to one mówiły, że może dać kaczkę albo kurę, albo jeszcze coś innego. Jednak żadne awantury z nimi się nie zdarzały. Mimo to, stosunek do nich był negatywny, bo zakładało się, że oni kradną.

Data i miejsce nagrania	2010-08-23, Lublin
Rozmawiał/a	Lasota Piotr
Transkrypcja	Olimpia Przygocka
Redakcja	Olimpia Przygocka
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"

Józef Sadurski
ur. 1927; Kębło



Tytuł fragmentu relacji	Święta Bożego Narodzenia i Wigilia przed wybuchem wojny
Zakres terytorialny i czasowy	Lublin, dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	Boże Narodzenie, Wigilia

8. Święta Bożego Narodzenia i Wigilia przed wybuchem wojny

Okres świąt Bożego Narodzenia pamiętam jako coś bardzo pięknego. Chatka była taka nędzna, żeby zrobić miejsce na stół, to trzeba było schować łóżka, tak zwane łóżka z szufladami, bo to oczywiście była słoma, sienniki. Jak już było trochę miejsca, to stół przykrywało się elegancko, zawsze było też siano. Na święta zawsze ubijaliśmy prosiaka i robiliśmy z ojcem kielbasy, boczki wędziliśmy, najczęściej paliliśmy drzewem wiśniowym, z lasu się jałowca też czasem trochę przyniosło, był wtedy wspaniały zapach. Mama przeważnie robiła kaszanekę. Mieliśmy swoje wyroby, lodówek nie było, ale kielbasy zalewało się w beczce smalcem, i całe lato była pierwszorzędna kielbasa.

W wigilię nie było tak, że spotykało się nas sześcioro przy stole, nie! To znów byli wszyscy sąsiedzi, najbliżsi przynajmniej, ale u nas było przeważnie z czterech domów i zbierało się dwadzieścia kilka osób nawet przy tym stole, ciasno jak cholera było. Sąsiedzi przychodzili i siedzieli u nas godzinę, półtorej. Później wszyscy szliśmy do następnego sąsiada, a później znowu do następnego i tak do dwunastej w nocy, i o dwunastej ze śpiewem, oczywiście starsi ludzie to lubili sobie czasami popić trochę, szliśmy na pasterkę. Tak wyglądała wigilia przed wojną.

Data i miejsce nagrania	2010-08-23, Lublin
Rozmawiał/a	Lasota Piotr
Transkrypcja	Olimpia Przygocka
Redakcja	Olimpia Przygocka
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"

